

Aleksandra Zofia Pijanowska-Adamczyk

Okruszki pamięci

Zima. 1945. Wojna jeszcze trwa, ale front ze wschodu przesunął się już dalej, na zachód od nas.

Oszłomienie. Tak chyba można określić stan świadomości społeczeństwa w naszym mieście. Wiemy, że z Niemcami już na pewno koniec, Berlin musi wkrótce skapitulować, ale... Ale jedni oddychają już z radością i nadzieją, że wreszcie zacznie się normalne życie, że wolność, inni z niepokojem, niepewnością, rozczarowaniem, że to nie Zachód nas oswoił, że to nie tak miało być, i co teraz – nie wiadomo... Jednak czasu biegnącego nie da się zatrzymać. W zawrotnym tempie tak wiele zaczyna się dziać wokół nas. I działo się. Ruszały na nowo fabryki, organizowano urzędy, otwierano zamknięte przez hitlerowców szkoły, powstawały instytucje kulturalne i uczelnie wyższe. Do Łodzi zaczęli ścigać zewsząd przybysze, głównie ze zburzonej Warszawy, pragnący tu znaleźć dach nad głową, pracę lub szkołę. Łódź – gościnne miasto, przyjmowała wszystkich.

Ja byłam urodzoną łodzianką, miałam na miejscu rodzinę i dach nad głową. Wystarczyło podjąć i uzupełnić przerwana za okupacji naukę, zapisać się na studia i poszukać pracy.

Któregoś dnia przyszła do mnie koleżanka z wiadomością: „Słuchaj, organizuje się już redakcja łódzkiej gazety. Pójdź tam z twoimi wierszami, to chyba coś dla ciebie”. Poszłam z ciekawości i zostałam przyjęta. To była gazeta „Wolna Łódź”, a potem „Dziennik Łódzki”. Jako reporterka pisałam relacje z różnych spotkań, zebrań, wieców i tym podobnych, na które mnie wysyłano. Pomimo zapału do pracy, odczuwałam jednak pewien niedosyt. W gazecie wciąż jeszcze nie było kącika poezji, chociaż mi to obiecywał redaktor naczelny. Wreszcie nadarzyła się oczekiwana okazja, żeby popisać się czymś ciekawszym niż sprawozdania z nudnych często zebrań organizacyjnych, związkowych, spółdzielczych...

Zapowiedziano i szumnie reklamowano w mieście pierwszą projekcję filmu w kinie Polonia (przed wojną Casino).

Scenariusz filmu oparty był na powieści Wandy Wasilewskiej pt. „Ojczyzna” (lub może „Ziemia w jarzmie”?).

Miałam napisać z filmu recenzję. Poszłam do kina, nawet się chyba nieco wzruszyłam, napisałam jakąś przydługą notatkę o łzawej treści i położyłam na biurku Naczelnego. Oczekiwałam uwag, a może... gratulacji? Nic. Następnego dnia miałam pójść, zapytać, ale nie zdążyłam: już wszyscy mówili o „jakimś Kałużyńskim”, który właśnie napisał trafną recenzję z filmu, bo przecież wiadomo, że to spec od tych spraw. Rzeczywiście, w numerze była jego recenzja, krótka zresztą i na pewno świetna! Nie poszłam już o nic pytać Naczelnego. Z

gorzkim zdziwieniem słuchałam tylko w redakcji fragmentów rozmów wysławiających „tego znakomitego” Kałużyńskiego, który właśnie „dopiero co” zjawił się w Łodzi.

Nie wiedziałam jeszcze wówczas, jak ten pan wygląda, bo może tylko na chwilę wpadał do redakcji. Poznałam go jednak wkrótce na spotkaniach w Literackim Studiu, gdzie zjawiał się czasem w towarzystwie Ryszarda Matuszewskiego, znanego historyka literatury i autora podręcznika do tejże, albo z Janem (?) Królem, redaktorem pisma „Chłopska Droga”. Zygmunt Kałużyński objawił mi się wtedy jako wysoki, szczupły brunet o bujnej czuprynie i charakterystycznym uśmiechu. Nie zdobyłam się jednak na odwagę, by porozmawiać z nim osobiście.

Po latach, kiedy zdarzało mi się napotkać w publikacjach artykuły Kałużyńskiego i później słyszeć nieraz jego wypowiedzi w telewizji, wzrastała moja sympatia do niego, chociaż często (z wewnętrznym chichotem w duchu!) wywoływałam z pamięci moje młodzieńcze, naiwne zdziwienie tamtego dnia, w którym do wiedziałam się, że „jakiś” Kałużyński napisał lepszą recenzję od mojej!

Mówiono mi już niejednokrotnie: „Dlaczego nie piszesz nic o dawnych spotkaniach z ciekawymi ludźmi, z artystami, muzykami, literatami, poznanymi osobiście albo przynajmniej obecnymi w twoim otoczeniu. To przecież może być ciekawe, a czasem ważne, jako jeszcze jedno świadectwo czasu, który bezpowrotnie minął...”

No właśnie! Niechże więc moje wspomnienie, na przykład o Zygmuncie Kałużyńskim, który, niestety, niedawno odszedł już z tego świata, będzie jak pierwszy, zblakły kadr starego filmu z powojennego, łódzkiego okresu mojej młodości. Wspominałam, że poznałam Zygmunta Kałużyńskiego dopiero, gdy zjawił się w naszym Studiu Literackim, którego byłam członkiem. Studio rozpoczynało swą działalność pod patronatem Związku Literatów Polskich i skupiało głównie piszącą młodzież studencką, ale również niektórych znanych już literatów i krytyków, jak m.in. Stefan Lichański – redaktor Lubelskiej „Kamieni”, Adolf Rudnicki – uwielbiany przez studentki za swe opowiadania („Czysty nurt” – i nie tylko...), Adam Ważyk – poeta, niezwykle poważnego usposobienia, noszący stale mundur wojskowy oficera I Dywizji Kościuszkowskiej (stroje militarne w ogóle były w tym czasie dość powszechnie noszone), Mieczysław Jastrun – poeta o melancholijnych oczach i uwodząco pięknym głosem (gdy recytował swe wiersze), Jan Papuga – marynista, chłopak o niezwykłym życiorysie przypominającym życie Jack'a Londona... Papuga, biedny chłopiec, pracował jako

robotnik w przemyśle, potem dostał się na okręt i pływał po morzach, na dalekich rejsach jako marynarz. Pozostał prostym samoukiem, ale potrafił pisać pięknym językiem, i zachwycał tym nie tylko czytelników, ale i krytyków literackich.

W spotkaniach Studia, a także w literackim Klubie Pickwicka, uczestniczyli – w charakterze gości lub konsultantów, jedni często, inni rzadziej – znani pisarze, jak Władysław Broniewski, Seweryn Pollak – poeta, eseista, tłumacz (ówcześnie też redaktor „Czytelnika”), Jerzy Wyszomirski – poeta, prozaik, tłumacz, Artur Sandauer – wybitny krytyk literatury, Kazimierz Brandys – prozaik, Leon Pasternak – poeta, Lucjan Rudnicki – prozaik i inni...

Wśród początkujących wówczas literatów, do których i ja się włączałam, była Mieczysława Buczkówna (później żona Jastruna), Anka Pogonowska (moja koleżanka z gimnazjum i z polonistyki), Andrzej Braun – prozaik, Jerzy Miller – poeta, Czesław Schabowski – prozaik, Józef Szczawiński, Tadeusz Kubiak, Waclaw Olszewski – poeci, Wiktor Woroszyński – poeta, prozaik... W swym mundurze z demobilu bardzo wtedy szpanował, nie tylko ubiorem, ale i charakterystyczną postawą – niby ważnej jakiejś figury...

A naprawdę i bez szpanu – wiadomo było, że wielu z piszących kolegów miało poza sobą wyjście z lasu, partyzantkę AK, konspirację albo udział w Powstaniu Warszawskim... (i ja też miałam już swój udział w wojnie obronnej w 1939 roku, a potem w konspiracji ZWZ-AK).

Opiekunem Studia Literackiego był nasz profesor z polonistyki, historyk literatury – Zygmunt Saloni. Możliwości wyjścia na zewnątrz ze swą twórczością dla członków Studia Literackiego dawały nam poranki lub wieczory autorskie, między innymi w liceach, w Konserwatorium Muzycznym przy ulicy Gdańskiej, w dawnym teatrze Lutnia (a wtedy – sali Ośrodka Młodzieżowego Towarzystwa Uniwersytetów Robotniczych, a przede wszystkim w popularnym i lubianym przez bractwo artystyczną Klubie Pickwicka, mającym swą siedzibę w hotelu Savoy przy ulicy Traugutta. Z inicjatywy profesora Saloniego i ja miałam tam swój wieczór autorski zakończony licznymi gratulacjami starszych literatów i krytyków, jak Stefan Lichański, Seweryn Pollak, Leon Pasternak, Feliks Zmudowski (dziennikarz). Na tym wieczorze była także Ryszarda Hanin – aktorka, żona Leona Pasternaka, ale już nie pamiętam, czy i z nią rozmawiałam. Wkrótce jednak zdarzyło mi się odwiedzić tę parę artystów w ich ówczesnym mieszkaniu, w Domu Związku Literatów przy ulicy Bandurskiego 8.

(Dokończenie na stronie 4)